

André Pieyre de Mandiargues, *Zmysłowe kształty*<sup>1</sup>,  
przeł. B. Banasiak, „Literatura na Świecie” 1992, nr 1, s. 225-231.

Teatr Feuille de Rose jest niewiele większy niż zwykły dwuosobowy pokój w hotelu podrzędnej kategorii, a jego wnętrze jest tak mroczne, jakby sala została wydrążona w pokładzie węglowym. Michel Méjean zajmuje środkowy fotel w pierwszym rzędzie. Na wprost niego, w odległości mniejszej niż metr, rozbiera się wolno bardzo młoda dziewczyna, nie wstając z czegoś w rodzaju pufy lub okrągłej kanapy, na której siedzi, i niekiedy wyciąga się albo odwraca, by z ogromnym wdziękiem zdjąć jakąś część swego kostiumu. Zgodnie z ruchami dziewczyny, jej stopy, odziane jeszcze w jedwabne fioletowe podkolanówki ozdobione purpurowym prążkiem, ocierają się czasem o buty Michela Méjeana, zwłaszcza o but prawej stopy, którą utrzymuje w powietrzu noga założona na drugie kolano. On, jakby nic nie czuł. Pozostaje nieruchomy, z dłońmi spoczywającymi na czarnych, drewnianych poręczach fotela. Namiętnie (jak się wydaje) patrzy na piękne stworzenie, które odsłania swe smukłe kształty gestami o takiej precyzji gimnastycznej, że można by je wpisać w przezroczystą kulę.

Czy Michel Méjean naprawdę prowadził przed chwilą ulicą Champs-Élysée swój samochód, kabriolet Fiat starego modelu, ale z silnikiem równie mocnym jak na początku; i czy znalazł się obok orszaku, który, posuwając się wzdłuż lewego chodnika, zmierzał niewątpliwie do grobu pod łukiem, podczas gdy on jechał powoli ku skrzyżowaniu z aleją Jerzego V; i czy pochód prowadziła kobieta o młodzieńczym wyglądzie, mimo zupełnie siwych rozwianych włosów, o bosych stopach na asfalcie, o ciele upudrowanym na białło, osłoniętym jedynie niebieskim stanikiem i żywo czerwonymi slipami; i czy wzniesioną ręką komendantki wywijiała srebrną (sądząc z pozorów) laską przewiazaną trójkolorową kokardą; i czy ustąpiło ramiączko stanika albo zapinana na plecach agrafka, uwalniając naprężoną brodawkę sutkową, gdy obracała laską, jakby grożąc Méjeanowi, który tymczasem właśnie zatrzymał samochód; i czy Méjean, ogarnięty nieoczekiwanym szaleem, wcisnął w podłogę pedał gazu, by nadać silnikowi wysokie obroty, potem wrzucił pierwszy bieg, wreszcie puścił sprzęgło, trzymając pełny gaz, aby runąć samochodem na kobietę i kroczących z nią pielgrzymów odzianych w wypłowiały błękit; i czy czuł (wskutek tak silnego wrażenia, jakby rzeczywiście stanowił jedno ze swym wehikułem), jak metal zderzaka i błotników rozrywa ciała, łamie kości, wgniata klatki piersiowe, i jak samochód zwalnia (mimo że wciąż dociskał pedał gazu), a potem grzęźnie w stosie powalonych ciał; i czy otworzył gwałtownie drzwi,

---

<sup>1</sup> André Pieyre de Mandiargues, *Les formes charnelles*, w: *idem, Mascarets*, Gallimard, Paris, 1971, s. 61-73.

posyłając na ziemię ocalałego mężczyznę, który próbował chwycić kłamkę, czy wyskoczył na zewnątrz, czy wpadł na chodnik pomiędzy nielicznych pielgrzymów, krzycząc z zamiarem wprowadzenia w błąd świadków: „łapcie go! łapcie mordercę!”, jakby był gonionym, a nie gonionym; i czy rzucił się ku schodom stacji metra Jerzego V, które szczęśliwym trafem pojawiły się u jego stóp, czy minął (wciąż krzycząc) kiosk z gazetami, czy pobiegł wyłożonym białą glazurą, pełnym plakatów korytarzem, wyciągając w międzyczasie z kieszeni spodni żółty karton biletu, czy mógł, wsunawszy szybko ten ostatni w kontrolkę, wskoczyć do gotowego do odjazdu składu, kiedy za peronowymi drzwiczkami rozlegały się krzyki; i czy Michel Méjean wysiadł na następnej stacji, Étoile, czy ruszył szybko korytarzem przejściowym, mijając innych podróżnych, jak ktoś, kto bardzo się spieszy, nie potrącając ich jednak, nie krzycząc już (nikt za nim nie krzyczał), na peron w kierunku Nation, gdzie nie czekał nawet minuty na przyjazd pociągu; i czy w wagonie Michel stał przy oknie, odwrócony plecami do pasażerów, ze wzrokiem utkwionym we własnym odbiciu w szybie, w rozwichrzonych kosmykach włosów tworzących rudawą grzywkę nad oczami koloru opadających liści, na nieco zbyt drobnym nosie, na nieco zbyt grubych wargach, na trochę zbyt cofniętej brodzie, na muszce z brązowej wełny, która dopełniała portretu, uwydatniając jabłko Adama w wycięciu kołnierzyka koszuli z tkaniny w szkocką kratę, pomiędzy kłapami skórzanej marynarki; i czy spodziewał się, że na stacji Ternes z łukowato wygiętym dachem zobaczy w oknie mijanego pociągu pasażerkę, która, tak jak on, przyglądała się swemu odbiciu i była doń może podobna, gdy dwie jednakowo zatroskane twarze nałożyły się na siebie; i czy utracił świadomość wszystkiego, co nie było jego odbiciem przemierzającym z odbiciem tej kobiety, aż do chwili przyjazdu na stację Blanche, której nazwa, objawiona nagle jego oczom jako określenie kwiatu, sukni i morza, kategorycznie wyciągnęła go z pociągu; i czy Méjean, wyszedłszy na świeże powietrze, ruszył szybko pośród mężczyzn i kobiet, którzy byli dlań jedynie cieniami na chodniku bulwaru Clichy, i skręcił naraz w wąską, niewątpliwie ślepią uliczkę, gdzie jego uwagę przyciągnęła wielka świecąca rzecz przypominająca szkarłatny język zawieszony między dwiema ścianami, szyld teatru Feuille de Rose; i czy Méjean, pchnawszy liche drzwi, które otwierały się poniżej języka czy też płatka, wszedł do małego okrągłego pomieszczenia, gdzie w budce z okratowanym okienkiem młodzieniec sprawiający wrażenie licealisty w żałobie sprzedawał bilety według cennika, w którym nie mogło nie kusić miejsce najdroższe, jedyny „środkowy fotel w pierwszym rzędzie”, oferowane za sześćdziesiąt franków, podczas gdy inne miejsca, zależnie od rzędu, kosztowały tylko dwadzieścia, trzydzieści lub czterdzieści; i czy Méjean, być może w trosce o spłacenie społeczeństwu (ale przez jakże bezbarwnego karła tutaj reprezentowanemu!) części długu

zaciągniętego w krwawy sposób na Champs-Élysée, wziął miejsce luksusowe, czy następnie pomalowanymi na czarno, skąpo oświetlonymi, krętymi schodami zszedł do czegoś, co musiało być piwnicą, czy potem młoda kobieta, wyraźnie naga pod cienkim, obcisłym, raczej brudnym kombinezonem z białej wełny, który miał jedynie otwory na oczy (bladoróżowe oczy albinoski) i usta (o wargach barwy mleka), poprowadziła go, przyświecając sobie latarką, do najdalej wysuniętego, środkowego fotela w jeszcze ciemniejszej sali, gdzie w tylnych rzędach samotnik, o którego otarła się bileterka, nucił „splamię cię tu, gronostajowa bieli”; i czy Michel Méjean ujrzał, jak kurtyna nie unosi się, lecz zsuwa w lewą stronę, by odsłonić okrągłą kanapę, czarną, jak mała scena i cała reszta sali z dywanami na ścianach i suficie, czy potem z prawej strony weszła dziewczyna, okrążyła mebel tak, by ujrano najpierw jej twarz, profil i plecy, zanim usiadła, bez uśmiechu, jak ktoś, kto był ścigany, lecz postanowił zaprzestać ucieczki; i czy nagłym gestem, na wprost Michela Méjeana, rozpostarła niczym sztandar płaszcz z czerwonego futra, który otulał ją po lędźwie, i czy runo o barwie czerwieni mongolskiej spadło na linoleum koloru sadzy z lewej strony kanapy, gdzie dołączyły do niego dwa małe, lekko złocistobrazowe półbuciki; i czy gdy dziewczyna delikatnie wyjęła wielki ciemny grzebień, który podtrzymywał kok jej włosów, gdy odrzuciła go i piękne ciemne loki opadły po obu stronach szyi, poniżej ramion, nawet poniżej szczytów małych piersi, Michel Méjean zaczął się zastanawiać, czy swą smukłością i gibkością, swą drobną trójkątną twarzą rozdartą ogromnymi płowozłotymi oczami, przedziurawioną ustami o wargach obnażających lekko zęby o niemal rażącym połysku, nie przywodziła na myśl łabędzia albo raczej węża, i czy myślał właśnie o „upierzonym wężu”, gdy ona zwijała się i rozwijała na kanapie, rozpinając mankiety, potem zamek na plecach koronkowej sukni koloru malwy, niczym strój z łusek, sięgającej po długie skarpetki, w które wsunięte były jej łydki o czystym zarysie, jej smukłe kostki; i czy wobec objawienia skóry tak perłowej, jak masa perłowa uchowca, kiedy dziewczyna doszła do ostatniego guzika sukni, wysunęła ramiona z rękawów, rozwiesiła staromodne ubranie niczym koronkowy ekran między sobą a wysuniętym widzem, wreszcie wyrzuciła go w górę, a ten przeleciał obok jej ciała, pozostawiając je bez żadnej osłony prócz podkolanówek, niewielkich majątek i nieważkiego stanika w postaci atlasowego welonu o takim samym perłowym połysku, jak gładki naskórek, Michel Méjean zdecydował w duchu, że była to „wężyca perłowa”, tak jak mówi się o „wężu koralowym”?

Żadna, nawet najbliższa przeszłość nie daje większej pewności niż historia i tradycja, które nie są przecież bezwzględnie pewne, refleksja ta nasuwa się Michelowi Méjeanowi, podczas gdy młoda, siedząca na wprost niego wężyca bierze głębszy oddech i jej kolana

ocierają się o jego kolana. Jej oczy spotykają się z jego oczami. Méjean mógłby się zdziwić, że w tym momencie nachodzi go wspomnienie sali wykładowej wydziału teologii protestanckiej w Montpellier, gdzie odbywał niegdyś jakieś studia, co jednak do niczego nie doprowadziło. Ale nie, nie dziwi się. Nie jest też zaskoczony, że twarz, która stanowi dlań aktualnie całe pole widzenia, i w oczach której ma wrażenie (wspaniałe) się przeglądać, pozostaje bez uśmiechu. Potem słowo „wężyca” zostaje usunięte z powodu nawrotu aktywności dłoni dziewczyny, które przykuwają uwagę kierując się ku piersiom, i długo, śmiało je pieszczą.

Później dłonie przesuwają się przez całą długość dolnej tasiemki stanika, sięgają pleców, podczas gdy wydaje się, że wielkie płowe oczy jeszcze bardziej ogromnieją, i Michel Méjean nie wątpi, że palce rozpinają właśnie zamek u tego skrawka bielizny. Mówi sobie, że policja prawdopodobnie go szuka i że go znajdzie, gdyż numer samochodu umożliwił zapewne odnalezienie jego nazwiska i adresu. Wysiłki dziewczyny pozostają jednak bez rezultatu, a on łapie się na tym, że cierpi za nią z powodu niezręcznego, przeciągającego się w nieskończoność gestu. Dziewczyna wciąż się przybliża, przed Méjeanem rozchylają się smukłe uda, nacisk kolan na kolana mężczyzny jest coraz silniejszy, odległość między jedną twarzą a drugą coraz mniejsza. Na tyle, że wszystko się w końcu zlewa, być może także z powodu zapachu perfum, a on przestaje cokolwiek widzieć, jakby sięgnął głębi lustra.

Kiedy Michel Méjean odzyskuje zdolność widzenia, oślepiają go rozmieszczone wokół reflektory i nie pozwalają dostrzec w sali nikogo, prócz siedzącego w wysuniętym środkowym fotelu barczystego mężczyzny, na którego kolana napierają jego nagie kolana. Przesuwające się wzdłuż ciała dłonie Michela Méjeana natrafiają na przesłonięte atlasem bryły młodych piersi, których nowość go zachwyca. Dłonie spotykają się potem za łopatkami. Teraz on mocuje się z guzikiem lub haftką, której opór jest niepojęty, podczas gdy zwrócony doń twarzą mężczyzna, w którego krępej sylwetce miałoby się może powody domyślać inspektora, komisarza albo nawet sędziego śledczego przywykłego do teatru Feuille de Rose nie tyle może dla przyjemności, co z powodu zawodowej troski, wpatruje się z wyraźnie rosnącą niecierpliwością w piękne zmysłowe kształty, w których Michel Méjean zacząłby znajdować upodobanie, gdyby wolno mu było do nich przywyknąć i gdyby zostawiono go w spokoju.

Paryż, 28 listopada 1969